



Kryminał z myszką

60

Błękitne okulary

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

BŁĘKITNE OKULARY

Kryminał z myszką – Tom 60

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-63-8

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: Czytelnik, Warszawa 1965, seria „Z jamnikiem”

Motto:

„Co znaczy,
Że chce czegoś człek?
Jak gdyby szło tu o człowieka!
Wszyscy aż po sędziwy wiek
O złotodajnych
Śnimy rzekach.
Pragniemy cukru, by tak rzec,
A jakoś dzieje się inaczej;
Chcesz śmiać się,
No to zwykła rzecz,
Ze zamiast tego
Płaczesz.”

Józef Utkin:

„Opowieść o rudym Motele”
(przełożył Zygmunt Braude)

Prolog

Dziewczyna była ruda, nieduża, miała bardzo białe, wystające zęby i wesołe oczy, podcienione na niebiesko. Czapa z lisiego futra chwiała się na jej głowie, kiedy stawiała niepewne kroki po śliskiej jezdni, pokrytej lodem.

– Sławek, trzymaj, bo lecę! – wołała co chwila, czepiając się płaszcza swego towarzysza. Oboje byli trochę pijani, nie na tyle jednak, aby stracić poczucie rzeczywistości i równowagę. Wysiedli na rogu z taksówki, bo na dalszą jazdę zabrakło im pieniędzy.

Podpierając się wzajemnie i wybuchając śmiechem, dobrnęli jakoś do bramy domu, oznaczonej numerem sześć. Mężczyzna zadarł głowę do góry, popatrzał na ciemne okna drugiego piętra.

– Śpi – mruknął. – Tak wcześnie i już śpi?

– Albo wyszedł. A przecież miał na nas czekać – powiedziała z rozżaleniem.

– Może zaraz wróci. Wiesz co? – ożywił się nagle. Sięgnął do kieszeni i śmiejąc się wyciągnął dwa klucze na metalowym kółeczku. – Zrobimy mu kawę.

– Skąd masz jego klucze? – zdziwiła się. I zaraz sobie przypomniała. – To jeszcze od Sylwestra, prawda?

– Aha. On ma zawsze dwie pary, na wszelki wypadek. Albo dla przyjaciół. Chodź, schowamy się w mieszkaniu i nastraszymy go. Pomyśli, że złodzieje. Chodź! – pociągnął ją do bramy.

Chichocząc, popychając się i szepcząc, bo a nuż jednak jest w domu, dotarli wreszcie na drugie piętro. Mężczyzna zadzwonił kilkakrotnie, ale w mieszkaniu panowała niczym nie zmacona cisza. To ich upewniło, że wyszedł. Zgrzytnął klucz w zamku. Nie zachowując już ciszy, rozdokazywani, zrzucili w przedpokoju płaszcze. Dziewczyna zdjęła długie po kolana, futrzane botki, cisnęła je z rozmachem w kąt i w pończochach pobiegła do kuchni. Chciało jej się pić; gospodarz tego lokalu zwykle trzymał piwo w kredensie pod oknem.

– Sławek! – zawołała. – Chodź, napijemy się piwa.

Z nagłą uderzyła ją cisza, panująca w mieszkaniu.

Zdziwiona, wyszła z kuchni, trzymając dwie butelki Radebergera. W pokoju paliło się światło.

– Jesteś tu? – spytała, przystając w progu. – Co robisz?

Podeszła bliżej. Mężczyzna stał nieruchomy obok tapczanu, na którym ktoś leżał.

– Odejdź stąd! – mruknął, ale było już za późno. Dziewczyna zrobiła jeszcze parę kroków i krzyknęła, wypuszczając butelki na podłogę.

– Co on... śpi? – szepnęła, chociaż leżący na tapczanie nie robił wrażenia śpiącego. Twarz miał wykrzywioną, ściągniętą jakimś grymasem, oczy otwarte, z rozszerzonymi źrenicami. – O, Boże! Jak on strasznie wygląda... Co mu się stało?

Mężczyzna, który był już teraz zupełnie trzeźwy, pochylił się ostrożnie nad ciałem, poruszył nozdrzami. Poczul dziwny, charakterystyczny zapach. Nie znał go, jakiś instynkt ostrzegał go jednak przed tym zapachem. Było to coś, jak gdyby migdały, olejek migdałowy czy coś podobnego.

Wyprostował się. Poszukał oczami i znalazł. Kieliszek z resztką gęstego płynu przywartą do dna leżał na dywanie, tuż pod zwisającą w dół, martwą ręką. Mężczyzna delikatnie dotknął tej ręki i zaraz cofnął dłoń. Zdawało mu się, że dotknął zimnego żelaza.

– Nie żyje. Już od dawna. Zimny.

– Co teraz? – spytała przerażona. – Co zrobimy? Mieliśmy jego klucze... Jezus, Maria, jeszcze nas posadzą! On się chyba sam zabił? Otruł się czy jak?

– Nie wiem.

Przetarł spocone czoło, rozejrzał się bezradnie dokoła. Nie było widać żadnych śladów walki, wszystkie meble stały na miejscu, na oknach wisiały zaciągnięte porządnie firanki.

Bielizna i ubranie zmarłego, złożone starannie na krześle, sprawiały wrażenie, że nikt nieproszony tutaj nie wtargnął, niczyja obca ręka śmierci nie zadała.

Mężczyzna jakby oprzytomniał. Spojrzał na zegarek, westchnął, podszedł do telefonu. Przez chustkę do nosa ujął słuchawkę i nakręcił dobrze mu znajomy numer. Potem powiedział:

– Mówi podprokurator Kania. Jestem na Bednarskiej pod szóstym, w mieszkaniu Wacława Maleckiego. On nie żyje, prawdopodobnie samobójstwo... Tak, Bednarska sześć... Tak. Czekam tutaj.

Odłożył słuchawkę. Nerwowym ruchem zapalił papierosa. Wypaloną zapalkę schował do kieszeni, popiół strącał do papierowego lejka, który skręcił z gazety wyjętej z kieszeni płaszcza. Zastanawiał się, czy nie zaniedbał niczego. Prawda! Piwo.

– Musiałas je tutaj nieść? – rzekł niechętnie, patrząc na leżące na dywanie butelki. Schylił się, ujął je przez chustkę, starannie wytarł ślady palców dziewczyny. – Skąd to wzięłaś?

Bez słowa poprowadziła go do kuchni. Schował butelki, wytarł jeszcze klucz tkwiący w kredensie i białe lakierowane drzwiczki.

– Załóż botki. I nie dotykaj niczego, słyszysz? Czego jeszcze dotknęłaś, jak weszłaś? Mów szybko, oni zaraz przyjadą.

– Niczego więcej.

– Na pewno?

– No, tak... Na pewno. Tylko ten kredens i butelki. Sławek, ale co my powiemy, jak milicja przyjedzie?

– Mówienie zostaw mnie. Chwała Bogu, znam ich nie od dziś. Zresztą, on nie żyje już dość długo, a myśmy jeszcze godzinę temu byli w klubie. Mamy świadków. A w ogóle, zawracanie głowy! – zdenerwował się nagle. – Ja się będę bał milicji? Ja, prokurator? Nonsens.

– To po co ścierałaś ślady?

– Żeby niepotrzebnie nie komplikować śledztwa. My wiemy, że jak przyszliśmy, to on już nie żył. Ale milicji trzeba by to dopiero udowadniać, a twoje odciski palców byłyby w tym diablo niepotrzebne.

Dziewczyna raz po raz spoglądała boki, ostrożnie na twarz zmarłego. Bała się, a jednocześnie coś ją ciągnęło, aby patrzeć. Twarz była straszna, na pewno będzie jej się potem śniła całymi nocami; wiedziała o tym dobrze. Mimo to wciąż odwracała głowę w stronę tapczanu.

– Kiedy on to zrobił? – szepnęła, splatając nerwowo palce. – Przecież wiedział, że mamy przyjść... I po co, w ogóle... nic z tego nie rozumiem. Zawsze był wesoły, dobrze mu się powodziło.

– Nie zawsze był wesoły – sprostował. – Od jakiegoś czasu chodził jak struty. Musiał mieć jakieś... – urwał, przechylił głowę, nasłuchując. Od strony Krakowskiego Przedmieścia nadlatywał coraz bliżej jęk syreny. – Już są. Nic nie mów, słyszysz?

– A jak mnie zapytają? – zawołała, tracąc panowanie nad sobą. – Przecież nie jestem niemowa! Co mam mówić?

– Prawdę, oczywiście. Bez tych butelek. Weszliśmy, ty zdejmowałaś w przedpokoju botki, ja wszedłem do pokoju, zapaliłem światło... potem ty... potem...

– Potem ja weszłam za tobą i zobaczyłam. Więcej i tak nic nie było, bo to piwo...

– Jak się wygadasz z piwem, posadzą cię, że kręcisz. Hanka, błagam cię, mów jak najmniej! Zostaw wszystko mnie. Nic nie jesteśmy winni, więc musimy się z tego jakoś wykręcić. Ja i tak nie będę prowadził śledztwa, to nie moja dzielnica. Zresztą... Idą!

Usłyszał na schodach szuranie butów. Potem rozległ się dzwonek, ale prokurator Kania już otwierał drzwi. Wszedł oficer ze służby kryminalnej, po cywilnemu, i wysoki, chudy sierżant w mundurze.

Kania obrzucił ich baczным spojrzeniem. Oficera znał, sierżant się nie liczył. Wyciągnął rękę na przywitanie. Twarz miał skupioną, poważną. W milczeniu poprowadził ich do tapczanu. Oficer nachylił się nad zmarłym, pociągnął nosem i odsunął się mimo woli.

– Cyjanowodór – mruknął. Wiedział, że ten najbardziej trujący z jadów niebezpieczny jest nawet przy wdychaniu jego oparów.

– Tak też myślałem – powiedział podprokurator. – Pewnie tam – wskazał na kieliszek.

Oficer dotknął końcami palców twarzy zmarłego, pokiwał głową. Sierżant rozejrzał się, podszedł do telefonu i, tak jak poprzednio Kania, ujął słuchawkę przez chusteczkę. Połączył się z Komendą Miasta, powiedział kilka zdań, poczekał na odpowiedź i dodał, aby się pośpieszyli. Oficer, nie zwracając na to uwagi i nie ruszając się z miejsca, rozglądał się uważnie po pokoju. Potem wyjął notes, zwrócił twarz w stronę stojących obok, podprokuratora i dziewczyny.

– Umówiliśmy się z Maleckim – zaczął Kania, nie czekając na zapytanie – że przyjdziemy do niego około szóstej po południu...

Rozdział 1

Tęgi, rumiany mężczyzna o siwych włosach, sterczących w górę jak szczotka, rozdawał karty wprawnym ruchem ręki. Jego bystre oczy obejmowały partnerów krótkimi, ostrymi spojrzeniami. Chwilami marszczył nos, jakby z gniewem.

W pokoju ze szczelnie zasłoniętymi storami trzy stoliki zajęte były przez pokerzystów, przy czwartym gospodarz lokalu rozmawiał z kimś szeptem, nachylając ku niemu głowę i gestykulując z przejęciem. Jego rozmówca przytakiwał ze zrozumieniem, nie spuszczając jednocześnie oka z przystojnej, trochę przysadzistej pani, szykującej na kredensie kanapki.

– Przebijam trzykrotnie – powiedział partner pana ze szczotkowatymi włosami. Był młody, lekko śniady, czarne włosy wydawały się mokre i gładko oblepiały czaszkę.

– Beze mnie – mruknął trzeci. Niecierpliwie strzepnął palcami. Szczotkowaty spojrzał na niego spod oka.

– Przebijam – warknął czwarty grający. Robił wrażenie niechluj, miał łupież i włosy na kołnierzu ciemnej marynarki, brudne paznokcie i zmiętą, szarą twarz.

Trzeci zapatrzył się gdzieś w przestrzeń.

– Czterdzieści pięć w puli.

Tęgi wzruszył ramionami:

– Grosze. Marne grosze.

Nagle przy drugim stoliku wybuchła awantura. Gospodarz zerwał się z krzesła, takie rzeczy były niedopuszczalne.

– Panowie! – podszedł do nich, twarz miał jak z kamienia, oczy złe. Jednemu z graczy położył na plecach twardą rękę, aż tamten ugiął się i przycichł. – Panowie, w waszym i moim interesie... Chyba nie muszę przypominać.

Postał jeszcze chwilę, przyjrzał się rozdawaniu kart. Raptem, ruchem szybkim jak cyrkowiec, wyjął rozdającemu talię z rąk i wzruszył ramionami.

– Ostatni raz widzę pana u siebie – powiedział cicho. Gracz znał go dobrze, nie próbował protestować. Gospodarz położył na stole nową talię, którą sam rozpieczętował. – Proszę, grajcie, panowie, dalej. – Wrócił do stolika i znów zaczął szeptać coś swemu rozmówcy.

Przy pierwszym stoliku śniady miał fulla-max, trzy asy i króla pikowego z damą. Gracz, który powiedział „beze mnie”, kiwał się sennie, oczy miał jakby zamazane. Długimi, szczupłymi palcami co chwila strzepywał w powietrzu albo postukiwał na blacie stolika, marszcząc ciemne, ukośne brwi.

Trzeci stolik widocznie zakończył grę, bo partnerzy wstawali, nie śpiesząc się, któryś chował do kieszeni karty. Dwaj odruchowo spojrzeli na zegarek: była dziesiąta. Powoli, jeden za drugim, wychodzili do przedpokoju, który był jednocześnie korytarzem i prowadził w głąb mieszkania, obok kuchni i łazienki. Gracze skierowali się w tamtą stronę. Ostatni pokój, najmniejszy ze wszystkich, oświetlony był tylko stojącą lampą z ciemnozielonym abażurem. Usiedli w fotelach i na tapczanie, drzwi zostawili lekko uchylone.

W półmroku nie dostrzegli samotnej postaci, wciśniętej w wiklinowy fotel koło szafy. Dopiero kiedy się odezwał, wszyscy – cała piątka – zaskoczeni, odwrócili głowy w jego stronę, choć powinni byli się przyzwyczaić do tego, że zjawiał się niespodziewanie albo czekał już na nich, mimo iż umawiał się inaczej.

– Dobry wieczór – powiedział, nie podnosząc głosu. Zawsze mówił cicho, podobno przechodził operację strun głosowych i tak mu to już zostało. – Proszę, niech ktoś zamknie drzwi. Może pan, panie Andrzeju.

Młody mężczyzna o przystojnej, trochę kpiącej twarzy, siedzący najbliżej drzwi, podniósł się leniwie i zamknął je na klucz.

– Proponuję, żebyśmy od razu przystąpili do rzeczy – rzekł niecierpliwie niski, barczysty blondyn o wyraźnych skłonnościach do tycia. Miał krótkie nogi, wystający brzuch i oczy bystre, chłodne, o spuchniętych powiekach. – Doktorze Hacen, co pan proponuje?

Wiklinowy fotel zaskrzypiał, siedzący w nim poruszył się lekko.

– Proponuję – odparł – abyśmy zajęli się pewną przesyłką kolejową. Dwa wagony, od granicy konwojowane przez strażników przemysłowych z fabryki „C-4”, dla której są przeznaczone. Fabryka ma bocznice kolejową. Przesyłka nadejdzie nocą, wagony odstawiają na bocznice, strażnicy pójść spać.

– Co tam jest? – spytał mężczyzna o rybich, wyłupiastych oczach nad ostrym nosem. Palce miał żółte od nikotyny, palił dwie paczki dziennie.

– Chemikalia, inżynierze. Wartość przesyłki, tak na oko, pół miliona.

– Czego?

– Złotych dewizowych, oczywiście.

Barczysty blondyn skrzywił się niechętnie.

– Będą pilnować w nocy. To nie węgiel czy blacha, na pewno postawią wartowników. Ale rzecz jest warta rozważenia. Wartownicy, to jeszcze nie problem. Kiedy wagony mają nadejść?

– Za dziesięć dni, o ile CEHAZ nie przesunie terminu. Ostatnio zagranica trochę opóźnia dostawy chemiczne, mają jakieś z tym trudności.

– Oni mają trudności? – blondyn parsknął śmiechem z ironią. – Myślałem, że to tylko u nas się zdarza.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI